

Pijany
martwym
Gruzinem

WITOLD GAPIK



Bezdroża

Autor: Witold Gapik
Zdjęcia: archiwum autora

Redaktor prowadzący: Maciej Żemojtel
Redakcja i korekta: Andrzej Dębkowski, Justyna Mroczkowska, Gabriela Turzańska
Konsultacja językowa (jęz. rosyjski): Rafał Szkudlarz
Opieka techniczna: Katarzyna Leja
Skład: Jan Szczurek
Projekt okładki: ULABUKA
Zdjęcia na okładce: shutterstock.com (przód), archiwum autora (skrzydełko)
Mapy na wewnętrznej stronie okładki: Jan Leja

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji. Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawnictwo Helion dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawnictwo Helion nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo Helion
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 2309863
e-mail: redakcja@bezdroza.pl
księgarnia internetowa: <http://bezdroza.pl>

Drogi Czytelniku!
Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:
<http://bezdroza.pl/user/opinie/?bepija>
Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydanie I
ISBN: 978-83-283-3433-5

Copyright © Witold Gapik, 2017
Copyright © Helion, 2017



Kup książkę

Poleć książkę



W oparach absurdu

Pieniądze bez wartości

Touarbegowi

Podróżujący po Kazachstanie będzie zdziwiony wielką liczbą samochodowych wraków na poboczach dróg. Nie wszystkie są pozostałością wypadków. Niektóre, zwłaszcza te spalone, to nie efekt gangsterskich porachunków – zostały zniszczone świadomie ręką zdeterminowanych właścicieli pochłoniętych walką o życie. Opowiem ich historię.

Wszystko zaczęło się w Aktiubińsku. Zgodnie z marszrutą delegacji kolejnym celem podróży był Kostanaj, oddalony o mniej więcej 800 kilometrów. Z powodu zamieci śnieżnych powietrzna flota kazachskich przewoźników stała bezczynnie na pasach startowych zamrożonych lotnisk. Zostawały przepełnione i nieregularnie kursujące autobusy albo autostop: podróż w kajucie ciężarówki *dalnobojszczikow* przemierzających drogi współczesnej namiastki Jedwabnego Szlaku. Był też Wołodia. Mój klient i oddany *drug*. Akurat musiał pilnie dostać się z Aktiubińska do rodzinnego Kostanaja. Zdecydowaliśmy, że trudną trasę przemierzmy razem jego nowym touaregiem. Postanowiliśmy wyruszyć rano. Za kierownicą dzielny Tałgat, jako wyposażenie: zakąska, dwie butle koniaku i herbata w termosie. Na pace dwa kanistry z benzyną. Rok później przemierzałem tę trasę latem – była niemal nieprzejezdna. Odarta z asfaltu, pełna błotnistych lejów i głębokich transzei, w których mógłby zakopać się traktor. Zimą wyglądała inaczej, jamy wygładził śnieg i lód, mieniący się w lutowym słońcu. Obliczyliśmy, że jeśli nic nieprzewidzianego się nie wydarzy, powinniśmy przemierzyć ją w mniej więcej dwanaście godzin. „Na koń!” – pijemy po kusztyczku na drogę i do wozu. Tałgat pędzi, ile fabryka dała po śnieżnym torze, a my gadamy o wszystkim i raczymy się koniakiem.

Wołodimir opowiada o filarach kazachskiej tradycji.

Nasza przestrzeń życiowa to step. Dla innych nacji przerażająca pustka, dla nas niczym nieograniczona swoboda. Nomada i Kazach to synonimy. Słowa określające ten sam typ człowieka, dla którego wspólnym symbolem wolności i piękna jest koń. Duchowy cement jednoczący naród to oczywiście islam, przez lata tłamszony, prześladowany, dziś podnoszący się z kolan, co manifestuje błękitnymi kopułami nowych meczetów. Choć z Kazachów tacy muzułmanie, jak i prawosławni. Praktykują tylko słowem, okazijnymi gestami bez głębszego duchowego zaangażowania. Prawdziwą religią Kazachów jest jadło. Obowiązkowo z baraniną; tłuste, konieczne do przetrwania w bezlitosnym klimacie. Skośnooki człowiek, rozleniwiony jedzeniem, nieruchawy i wolno myślący to idealny obraz typowego przedstawiciela mojego narodu – ciągnął Wołodka. – To rozleniwienie jest przyczyną ogólnej tolerancji. Musimy być tacy, skoro żyje tu ponad sto nacji. Wszyscy jesteśmy skazani na kompromis, musimy go wypracowywać, dogadywać się, rozumieć racje drugiego, ponieważ jakkolwiek konflikt na tle etnicznym lub – nie daj Bóg – religijnym doprowadziłby do rozpadu państwa.



Wypas inwentarza na stepach w okolicy Atyrau

Chyba ma rację. Patrząc na wesołych biesiadujących Kazachów, jakoś nie potrafię wyobrazić sobie bratobójczej rzezi w ich wykonaniu. Tolerancja jest owocem poobiedniego rozleniwienia i wynikającego z tego spowolnienia umysłu.

Włączamy muzykę. Okazuje się, że Wołodimir to wielki fan Linkin Park. Otwieramy okna, wypuszczając amerykańskiego rocka na bezkresne kazachskie stepy. Wystawiamy głowę za okno, siarczysty mróz zatyka oddech, zamraża oczy. Ryczymy, przekrzykując wiatr i pęd samochodu.

– Jeden z moich ulubionych muzyków, Kazik Staszewski, powiedział, że „nasze życie to tylko kilka, wspaniałych, niezapomnianych chwil. Reszta to przygotowanie do nich lub ich wspomnianie...”. Zatem wypijmy za to, by owych pięknych, niepowtarzalnych chwil w naszym życiu było jak najwięcej i abyśmy mieli wiele okazji do wspólnego ich wspomniania...

Pijemy nie koniak, lecz czyste szczęście.

Przed nami długi na 350 kilometrów odcinek bez jednej wioski, nawet najmniejszego kiszłaka. Uzupełniamy bak paliwem z zapasowych kanistrów. W maleńkim pokółchozowym sklepiku zapyziałego siola Komsomolskoje, gdzie jedynym towarem są czerstwe ciastka, woda brzoza w wielkich słojach oraz indyjskie korniszony, kupujemy spod lady jedyną butelkę miejscowej brandy. Pijemy ją powoli, odmierzając kieliszkiem każde 50 kilometrów. Tymczasem ciemne chmury zasnuły niebo, słoneczne promienie zastąpiły śniegowe pięści bombardujące okna samochodu, zerwał się północny wicher. Zwolniliśmy do 30 kilometrów na godzinę. Widoczność praktycznie zerowa. Tałgat siedzi nad kierownicą z nosem wściubionym w przednią szybę. W zasadzie powinniśmy stanąć i przeczekać zamieć na poboczu, jednak jak to zrobić, gdy poruszamy się w tunelu wydrążonym pomiędzy dwiema wielkimi zaspami? Zatrzymać się to czekać na zderzenie z pojazdem za nami lub nadjeżdżającym z przeciwka. Tempo degustacji spadło do jednego kieliszka na dwie godziny, a świat pociemniał jeszcze bardziej pozbawiony jasności dnia, która ostatecznie skapitulowała przed obłokami, śniegiem i wiatrem. Do celu zostało 400 kilometrów. Czekają nas noc w drodze. Jeśli... Jeśli wystarczy benzyny. Liczyliśmy na dotankowanie

przed wjazdem na bezludny kawałek, jednak na stacji paliw nikt nie widział benzyny od niemal dwóch tygodni. Podobno problemy z zaopatrzeniem. Nie zawracamy, jedziemy dalej, odliczając kilometry i kolejne kreski nieubłagane opróżnianego zbiornika.

Nie dojechaliśmy. Benzyny zabrakło około 100 kilometrów od wioski Siewiernoje, naszej utęsknionej bramy do cywilizacji. Samochód zgasł bez widowiskowego prychnięcia. Po prostu stanął w koleinach głębokich na połowę koła. Wyłazimy na zewnątrz, otuleni kapturami, ze spodniami wpuszczonymi w wysokie skarpety dla ochrony przed śniegiem. Próbuje wbić się saperką w śnieżno-lodową ścianę pobocza, by choć trochę zepchnąć samochód. Idzie gorzej niż źle. Urobek jest żenująco słaby, górniczy z nas żadni. Sypie jak cholera. Próbuje przebić wzrokiem bezbrzeżną pustkę nokoło. Ten, kto nie widział stepu, nie zna pojęcia pustki, totalnej nicości niezakłóconej krzaczkiem, badyłkiem, karłowatym drzewkiem. Krowie placki na opał to fantastyka. Kto znajdzie je pod metrową warstwą śniegu? Wiatr dławi oddech i myśli, zamienia oczy w studnie łez. Po kilku minutach wyglądamy jak dorodne bałwany w pokracznym podrygiwaniu. Nie zepchniemy samochodu, nie ma szans. Włączamy światła awaryjne – powinny wystarczyć na kilka godzin. Pojedynczo chowamy się do samochodu, by choć na chwilę schronić się przed wiatrem. Dwaj pozostali wyposażeni w pledy stają dwadzieścia metrów za i przed samochodem wypatrując ewentualnych pojazdów. Jak na złość, a może na szczęście, nic nie jedzie. Zimno jest przerażające i obezwładniające. Każę usiąść, wtulić się w zaspę i spokojnie czekać. Jednak bezruch to śmierć. Błoga i stosunkowo lekka agonია zamarzającego organizmu. W środku stepu telefony to bezużyteczne urządzenia pozbawione zasięgu, z błyskawicznie zdychającą na mrozie baterią.

Trzeba rozpałić ognisko. Tylko z czego? Wokół nie ma nic. Na podpałkę idzie zapasowa opona – to nic, że wraz z kołem. Czarny słup dymu przemyka się w zamieci niczym wąż, rzeźbiąc czarny korytarz w ścianie bieli. Z rozkoszą wchłaniamy w płuca ohydny smród. Łód z czapek topnieje i spływa nam po policzkach. Czuję, jak rozmarza mi broda i wąsy. Na przegasającą oponę wrzucamy baranie skóry z siedzeń touarega. Smród spalonej

sierści roznosi się wokół wraz z duszącym dymem. Konfekcjonujemy zawartość brandy kupionej w Komsomolskoje. Tałgat pije razem z nami. To już dwie godziny, jak stoimy unieruchomieni pośrodku stepu. Wiatr zamienia się w morderczy buran, który tysiącami lodowych szpilek wbija się w skórę twarzy, kaleczy odsłonięte dłonie. Na stos trafiają gumowe dywaniki, a potem wykładzina z bagażnika i całe podłogi. Robię przegląd moich rzeczy z plecaka. Swetry i bluzy rozdaje chłopakom. Uzupełniamy garderobę w samochodzie, wdziewając kolejne rzeczy i telepiąc się z zimna. Koniak to już mgliste wspomnienie. Przygasające ognisko podsycamy zagłówkami, potem tylną kanapą. Wypruty tył wozu straszy chłodem odsłoniętych blach. Mijają kolejne dwie godziny bezradności. Iść pieszo przed siebie to samobójstwo, nie pozostaje nic innego, jak wymontować siedzenie pasażera. Zgrabiałyśmy dłońmi wyrywamy je na siłę. Ognisko wzmocnione nową ofiarą strzeliło do góry wysokim płomieniem, kombinowaliśmy, czy zrywać podsufitkę, gdy dojrzelśmy światło. Potężny kamaz wypełził z mroku za nami. Nie wyłączając silnika, zatrzymał się przy resztkach dogasającego fotela.

– *Pizdiec, riebiata! Suka smiert' etom razom nie uspieła!* Świecimy szczękającymi zębiskami do szofera, śmiejemy się i wzajemnie obejmujemy. Niepisane prawo *dalnobojszczikow* nakazuje wspomóc potrzebujących. Zawsze, bez względu na okoliczności. Spychając zaspy twardymi zderzakami, kamaz ominął wybebeszonego touarega, staliśmy w kłębach cuchnących spalin, rozkoszując się smolistą aureolą. Linka holownicza to podstawa wyposażenia każdego transportowca. Nasz wybawca sam zaczepił ją przy obu autach. My zgrabiałyśmy rękami robilibyśmy to pewnie z pół godziny.

Podkładamy co większe z moich rzeczy w miejsce wyrwanej tylnej kanapy i ładujemy się do środka. Ruszamy do przodu ciągnięci przez ogromne cielsko – cud sowieckiej motoryzacji. Powoli do przodu, kilometr za kilometrem docieramy do Siewiernego. Na stacji benzynowej paliwa oczywiście nie ma. Jedyne, co mogą zaoferować, to gorąca herbata, ciasteczka i miejscowy samogon. Przyjmujemy wszystko z wdzięcznością. Dopiero po dłuższym czasie zauważyłem, że gorący kubek nie parzy mi dłoni. Wciąż były

zgrabiałe. W nieogrzanym samochodzie nadal panowało piekielne zimno. Postanowiliśmy więc, że co pół godziny będziemy zmieniać się za kierownicą holowanego wozu. Dotychczasowy kierowca będzie rozgrzewał dłonie w ciepłej kamazowej szoferki. Gdy zostaliśmy sami, zadałem Wołodimirowi pytanie, którym nie chciałem go krępować w obecności pracownika.

– Bałeś się, że zamarzniemy?

– Nie myślałem o tym – odrzekł. – W najgorszym razie byłem gotów iść pieszo w poszukiwaniu schronienia. Wiesz, to zabawne, uzmysłowiłem sobie, że moja firma dziś przetrwałaby beze mnie. Ja bez niej – chyba nie. Chciałem wydostać się z tej absurdałnej sytuacji nie tyle, by zobaczyć żonę i dzieci, ale po to, by jeszcze czegoś dokonać... A ty?

– Ja nawet nie dopuszczałem do głowy myśli, że coś się stanie. To wszystko było jak film. Oglądałem go jakby z boku, kibicując bohaterowi, zapominając, że to właśnie ja nim jestem.

– Czyli w gruncie rzeczy podobnie. Obaj nie myśleliśmy o najgorszym.

– Wydaje mi się, że będzie tak samo w chwili, gdy naprawdę przyjdzie umierać. Po prostu w ogóle nie będziesz brał takiego scenariusza pod uwagę. Śmierć będzie niepojmowalnym absurdem... milczeliśmy trochę, po czym ciągnąłem dalej:

– Gdyby to było konieczne, jak daleko byś się posunął? Spaliłbyś cały samochód?

Wołodia popatrzył na mnie poważnym wzrokiem.

– Witold, gdyby to było konieczne, spaliłbym nawet milion dolarów dla ratowania życia. W tym momencie nic nie ma znaczenia – liczy się tylko życie.

O dziwo zrobiłbym to samo. Tego dnia utwierdziłem się w przekonaniu, że czasem pieniądze i rzeczy materialne nie mają żadnej wartości. Liczy się tylko wola przetrwania i ktoś, kto cię wesprze w chwili samotnej walki z Absolutem. Zrozumiałem, dlaczego Kazachowie specjalizują się w sportach walki. Trzeba mieć żelazną wolę przetrwania, aby przeżyć w warunkach surowego stepu. Z przyrodą trzeba się barować, zмагаć, by w końcu rzucić ją na kolana i podporządkować małemu pyłkowi – człowiekowi...

Gdy nad ranem dotarliśmy wreszcie do Kostanaja, machnąłem ręką na misterny plan służbowego wyjazdu. Nie spaliśmy nawet zbyt długo. Cały dzień jedliśmy, piliśmy, a wieczorem poszliśmy do nocnego klubu cieszyć się życiem. Towarzyszył nam druh Wołodimira Touarbeg, miłośnik dobrej kuchni i napitków. Sybaryta szaleńczo zakochany w koniach i potężnych samochodach. Touarbeg był mistrzem w ich sprowadzaniu hen z dalekiej Europy, Ameryki, Dubaju. Był również specjalistą od popadania w najbardziej dziwaczne finansowe tarapaty. Jednym z jego najbardziej spektakularnych i jednocześnie nieudanych projektów była produkcja filmu, w której zagrał rolę kazachskiego chana. Podczas zdjęć z tremy tak się przejął, że nie mógł wykrztusić ani słowa. Popił więc dokumentnie, a jego rola ograniczyła się do grania chana w pełnym *kajfie*. Na planie wystąpił ze swą ulubioną klaczą, którą nieustannie gładził po pęcinach. To ona wskazała mu miejsce do budowy domu. Oczywiście uparł się nam go pokazać. Kompletnie zalani wtoczyliśmy się do jego pałacu około trzeciej nad ranem. O dziwo, żona nawet nie była zdziwiona. Przywykła do odwiedzin dziwnych gości w najbardziej niezwykłych porach. Nawet jeśli bredzili coś



Morze Kaspjskie rzadko zamarza;
wybrzeże Kaspija w zimowej szacie, Aktau

o wyrwaniu się ze szponów bezlitosnej lodowej śmierci. Touarbeg zaciągnął nas do szemrzącego wodą oczka wodnego pośrodku hallu. O tu! Widzicie! Tu moja *lubimaja* pogrzebała kopytkiem! Po czym padł na placu boju. Jego żona podała gorącą herbatę i wyjaśniła, że w przekonaniu Kazachów miejsce, które koń wybierze na popas, jest obdarzone dobrymi mocami sprzyjającymi budowie domu.

Dziś Touarbega nie ma już między żywymi, nieposkromiony apetyt na życie doprowadził go wprost do śmiertelnego zawału. Zostało jednak wspomnienie małego chana, niespełnionego producenta filmów i oddanego druha. Nigdy o nim nie zapomnę.

Od tamtej pory nie znoszę mrozu i wiatru. Uwielbiam słońce, ciepło promieni i lekkie koszule zamiast puchowych kurtek. Wszystkie cuda Skandynawii i północnych krain oddałbym za jeden podwieczorek na słonecznym tarasie. Gorącą kawę w melodii cykad i pot ocierany ze skroni skrawkiem ręcznika.

W oparach absurdu II

Lot w lodówce

Rejs na trasie Astana – Kostanaj nie jest specjalnie dochodowy. Odległość nieduża, pasażerów mało. Połączenie lotnicze jednak istnieje, obsługiwane przez niewielką linię. Szykując się do tego lotu, trzeba być jednak przygotowanym na podróż w czasie. Odległą. Pierwszych podejrzeń co do komfortu lotu nabrałem, gdy do samolotu zawiózł mnie wraz z pozostałymi sześcioma podróżnymi niezbyt wielki lotniskowy busik. Oczywiście bagaże upchnięto nam na kolanach. Oszczędność ponad wszystko! Z coraz większym niepokojem obserwowałem mijane airbusy i średnie jednostki o sowieckim rodowodzie. Wreszcie zatrzymaliśmy się na szarym końcu lotniska, przy... małym dwupłatowym antonowie, wyglądem przypominającym sławetnego kukuruźnika. Jako obsługa pilot i nawigator, występujący również w roli stewarda i bagażowego. Dbając o jego kondycję, sam wtaszczyłem do

środku swój ogromny plecak. Kontrola bezpieczeństwa była zbędną procedurą. W kieszonkach bagażu wiozłem wielofunkcyjny scyzoryk, o butelkach *podaroczej* wódki nie wspominając. W środku dwa rzędy pojedynczych foteli pod oknami i szare sukno zamiast drzwi do kabiny pilotów. Krzyżyk na drogę, lecimy. Szczęśliwie wystartowaliśmy w jednym kawalku. Na wysokości mniej więcej 1000 metrów zrobiło się chłodno, potem było już tylko gorzej. Zimno, bardzo zimno, mroźnie, lodowato. Za stopniowanie przysłówków związanych z chłodem należy mi się medal mistrza gramatyki. Wraz z pasażerami siedzimy odziani w kurtki, czapki, rękawice i klniemy na czym świat stoi. „Kurwa! Jak zimno”. Steward miał niewyraźną minę i trząśł się jak galareta w służbowej kurtce, przepraszając za brak *usługii*. Ale lot to tylko czterdzieści minut, więc szanownych pasażerów uprasza się o wyrozumiałość. Dziesięć minut to lodowa wieczność. Cholera, nie wytrzymam! Odpiąłem pas i przygarbiony przedarłem się do plecaka przy akompaniamencie szczękających zębów. Moich i pozostałych pasażerów. Dziewczyna w rajtuzach okrywała nogi połami niezbyt długiego płaszcza, była bardzo blada, bielsza od chmur. Pożyczyłem jej ciepły polar, który przyjęła z wdzięcznością. Dla pozostałych miałem coś lepszego. Zaproponowałem



Rybalka w Kaspiu, Aktau

degustację *podaroczej* flachy. Ofertę przyjęto przez akklamację. Usłużny steward zaproponował plastikowe kubki. Oczywiście załapał się na kolejkę. Zdrowie na wysokościach! Precz z trzeźwością w pracy! Kapitan chyba też miał chętkę. Z poparciem pozostałych wykazałem się niewysłownym egoizmem. Pilot musiał obejść się smakiem.

Kolejne dwadzieścia minut minęło zdecydowanie lepiej. Klimatyzacja nie pracowała idealnie, więc w powietrzu ze zmniejszoną ilością tlenu alkohol działał sprawniej i efektywniej. Zwłaszcza w błyskawicznej dawce. *Nu, gospoda, przziemliajemśja!* – zakomenderował steward nawigator i wychyliliśmy ostatnią kolejkę za *miagkoju posadku*. Lądowanie zgodnie z oczekiwaniami było idealne.

– Pilot *mołodiec* – komentowaliśmy, ściskając prawicę kapitana na odchodnym. Plecak, choć lżejszy o butelkę, sprawiał wrażenie zdecydowanie cięższego. Dobrze, że zabawię tutaj półtorej doby. Przez wieczór odsapnę w hotelu, a rano do pracy! – pomyślałem.

W oparach absurdu III

Niezapomniane polowanie,
czyli jak zostałem kazachskim przestępcą

– A wiesz, że u nas połowa *mużykow* to myśliwi, a druga rybacy? Polowałeś kiedyś? – zapytał Wołodimir z miną wytrawnego myśliwego.

– Nie było okazji... – w środkowoazjatyckiej kulturze macho, gdzie nawet prezydent z odkrytym torsem łowi ryby w potoku, powiedzenie Wołodce, że nieco kłóci się to z moimi zasadami, byłoby handlowym samobójstwem.

– No to czas na chrzest bojowy...

– Ale kiedy? Jutro rano odlatuję do Moskwy...

– Zdążysz! Zapolujemy w nocy, wrócimy nad ranem, przy odrobinie szczęścia złapiesz nawet godzinę snu przed startem... – zaplanował za mnie Wołodka. – Spotykamy się wieczorem!

Nieco po zmierzchu wsiedliśmy do jego potężnej terenówki. W bagażniku sztucery w skórzanych futerałach, między nogami lodówka ze zmrożoną wódką i rybną *zakuska*. Za kierownicą nieustraszonego kierowcy Tałgat, no i my: czyli Wołodimir, jego najbliższy przyjaciel Siergiej, ich wspólny kumpel Touarbeg z rozbieganymi oczami i ja. Jedziemy z Kostanaja w północnym Kazachstanie w stronę granicy z Rosją. Gdy wyjechaliśmy z miasta, za oknem rozlała się pustka stepu i absolutna ciemność otuliła samochód i jego pasażerów. Nie pozostało nic innego, jak rozświetlić mrok błyskami kieliszków, polewamy przy świetle samochodowej lampy. Wznosząc kolejne toasty, spiraliśmy się, która z nacji jest najbardziej przebiegła i dojrzała politycznie. Oczywiście okazali się nią Kazachowie.

– Popatrz na największe imperia świata: Anglia, Francja, Portugalia, Hiszpania, niegdyś kontynentalne potęgi z koloniami na krańcach świata, dziś ograniczyły swe terytorium do półwyspów lub wyspy na Atlantyku. Wykrwawiły się przez wieki. Kiedyś uczestniczyły w największych światowych konfliktach, ingerowały w światową politykę, by w końcu stać się cieniem własnej potęgi – argumentował Wołodimir. – Tymczasem Kazachowie nigdy nie walczyli. Nikt nie słyszał o wojnie kazachsko-chińskiej czy kazachsko-rosyjskiej, a tym bardziej kazachsko-brytyjskiej. Zawsze byliśmy z boku. Przypatrywaliśmy się zmaganiom mocarzy, pomagając każdemu, kto poprosił o gościnę. Efekt? Dziś Kazachstan dysponuje niewiarygodnie wielkim terytorium na świecie, a wszystko to zdobyte bez jednej wojny. Bez bratobójczych rzezi, w których celują imperia.

– Tylko jaki z tego pożytek? – przerwał mu Siergiej.

– A taki, że jesteśmy jedną z niewielu nacji na świecie potwierdzającą, że można ocalić integralność terytorium, stawiając tylko na jedną kartę – dobre stosunki z sąsiadami.

– Za sąsiadów! – wznosił toast Touarbeg, czkając donośnie.

– Za stosunki! – dodał Siergiej.

Wypiliśmy za obie okoliczności. Od czasu do czasu stawaliśmy dla rozprostowania kości i zadośćuczynienia fizjologii. Czterej muszkietierowie w akcie braterstwa krzyżujący stróżki moczu zamiast szpad. A obok nich

dzielny kierowca Planchet – Tałgat, rozświetlający ciemności błyskami złotych zębów.

Jadąc dalej, oczywiście dyskutujemy o babach. Oglądamy fotki kochanek i żon uwiecznione w pamięci ich komórek. Tu, w smutnych miastach rozrzuconych po stepie niczym oazy na pustyni, posiadanie kochanek dla zarabiającego mężczyzny jest swoistą psychologiczną terapią; oczyszczeniem mózgu z biznesowych toksyn. Młodziutkie dziewczęta, sprzedając swe ciała na wyłączność za garść szeleszczących banknotów, są niczym innym jak żywym manekinem, gadającą cipką pozwalającą zapomnieć o problemach w pracy. Ich krocza są odreagowaniem na chciwość skorumpowanych urzędników, natarczywość prawdziwych i urojonych wierzycieli oraz roszczeniowe rodziny, którym pomimo zagwarantowanego życia w luksusie wciąż mało...

– A wiecie, że kobieta do dwudziestego szóstego roku życia dodaje mężczyźnie energii, a potem już tylko zabiera? Dlatego na kochanki kwalifikują się tylko te młodsze... – zagaił Wołodimir. Popatrzyłem na jego figurę dwudziestolatka pomimo piętego krzyżyka na karku. Ani chybi fachowiec...



W kiszłakach południowego Kazachstanu architektura nie uległa zmianie od tysięcy lat

– No, dawajcie, *za baby i babki!* – zainicjował Wołodimir. Toast zatwierdziliśmy gromkim aplauzem.

Zacząłem rozmyślać o wspólnym rodowodzie obu słów. Kobiety określa się twardszym, nawet nieco pogardliwym mianem „baby”, a pieniądze piśszczotliwym „babki”. Poddając się temu tokowi myślenia, kazachskiemu nomadzie bliższe są pieniądze niż kobiety. Bajeczne fortuny, zmateriałizowane w szeleszczących banknotach, budowane są dla chwały ich właścicieli. Może dlatego kazachskim mężczyznom, potomkom stepowych koczowników, bliższa jest współczesna namiastka konia, czyli samochód, niż wierność kobiecie? Niemal nikt z moich znajomych, przyjaciół nie wytrwał w sakramentalnym związku z jedną małżonką. Zmieniali je na młodsze i foremniejsze, z pyszną urodą i figurą azjatyckiej miss, podchodząc do tego jak do zmiany samochodu. Odniosłem wręcz wrażenie, że wierność żonie nie licuje z godnością kazachskiego mężczyzny, a łowy na kobiety i zwierzyne są dwiema odmianami tej samej myśliwskiej pasji.

– Włącz wesołą muzykę! – zakomenderował Wołodimir Tałgatowi. – Najlepiej rocka!

– *Iz roka liubliu rakom!* – dodał Siergiej, pozostając w swym entourage’u niepokromionego degustatora niewieścich ciał.

Wypiliśmy za jedno i drugie.

W takim nastroju przejechaliśmy ponad 200 kilometrów. Według kazachskiej skali wciąż pozostawaliśmy w tzw. *prigorodzie*, czyli opłotkach. Dla rozrywki opowiadaliśmy pieprzne dowcipy, co jakiś czas okraszając je sprośnymi męskimi toastami. Ot choćby takim:

General zasiadł do *pijanki* w gronie podkomendnych oficerów. Nalali alkohol w szklanki.

– Za co wypijemy, towarzyszu generale?

– Oczywiście, że za zdrowie!

Wypili. Dmuchieli w kułak. Przegryźli. Nalali po raz drugi.

– Za co, towarzyszu generale?

– Oczywiście za zdrowie.

Wypili jak poprzednio. A potem wiele następnych, każdy za generalskie zdrowie. Wreszcie po dziesiątkach osuszonych *bakałow* podchmielony kapitan, nalewając kolejną szklaneczkę, nieśmiało wydukał propozycję zmiany toastu:

– Towarzyszu generale, a może choć raz wypilibyśmy za szczęście?

W odpowiedzi dowódca zmierzył go piorunującym wzrokiem.

– Oj, ty młody! Jak raz, wczoraj szczęście dopisało, a zdrowie zawiodło! Pijemy za zdrowie!

Pijemy i my. Siergiej podwójnie, zabezpiecza się przed potencjalnym szwankowaniem męskiego organizmu.

W końcu dojechaliśmy. Stanęliśmy na skraju lasu pachnącego żywicą i mieszaniną ziół. Czas na mowę z księgi toastów myśliwskich. Wołodimir, lekko chwiejąc się na nogach, podniósł kieliszek.

– Siedzą dwaj myśliwi obok ledwie ustrzelonego kabana. Nieborak wydaje swe ostatnie tchnienie, a oni rozpoczynają *pijankę* na zakończenie udanego polowania.

– Za co pijemy? – pyta jeden z nich.

– Oczywiście, że za szczęście – odpowiedział starszy.

Tradycyjnie wychylili kilka głębszych – wciąż w tej samej intencji.

– Może na koniec choć jeden wypijemy za zdrowie? – zaproponował wreszcie drugi myśliwy. Zapytany wskazał znacząco na konającego kabana:

– Ot, popatrz na niego. Jaki zdrowy kaban. Ale cóż, zdrowie mu nie pomogło, kiedy zabrakło szczęścia. Dlatego za szczęście...

Prychamy jak żrebaki nad Wołodimirowym konceptem. Choć nigdy nie polowałem, poczułem zew puszczy. Pojawiła się ekipa nagonki, krótkie pozdrowienia, po kielichu, fuzje na plecy i darz bór! Wchodzimy między drzewa. Trochę trudno maszerować, gdy w ramię wżyna się rzemień torby na strzelbę, a nogi grzęzną w mokrym poszyciu. Najlepiej urządził się Touarbég, który zamiast broni targał ze sobą jedynie torbę z prowiantem. Wolę być kelnerem niż mordercą – stwierdził z dumą. Co jakiś czas staramy się mu ulżyć. Nalewamy co nieco z jego przenośnego barku, skubimy coś z zakąski. Lecz oto wkroczyliśmy na rozległą polanę, placek

stepu w środku lasu. Na stanowisko ogniowe wybieramy niewysokie krzaki poszycia. Nagonka przepadła dobre pół godziny temu. Z oddali dochodzą nas jakieś nawoływania, trąbienie, szczekanie, jakby chichot dostojnego lasu z pijanych myśliwych.

– Strzelałeś kiedyś? – zapytał Wołodka, wyciągając z futerału dwulufową fuzję.

– Tylko na strzelnicach, ze śrutówek...

– Tu jest podobnie, tylko odrzut większy. Lepiej dobrze oprzyj kolbę o ramię – tłumaczył, demonstrując pozę strzelca.

Adrenalina rozsadza mózg. Ręce się trzęsą. Póki siedzieliśmy w zaciszu ciepłej kabiny samochodu, wyprawa była podobna lotowi na Księżyc – tak samo absolutnie nierzeczywista. Sądziłem, że pokręcimy się trochę po lesie w poszukiwaniu przyczajonego zwierza i wrócimy z niczym. Tymczasem tu wszystko na poważnie. Jedyne Touarbeg podchodzi do tego ze stoickim spokojem. Przegryza kawałek suszonej kielbasy moskiewskiej i popija kawę z termosu. Pokrzepiam się wraz z nim.



Wielbłąd to ciekawskie stworzenie
(pobocze trasy Atyrau–Uralsk)

Wzmocniony, przypatruję się swojej flincie. Piękna. Z kolbą inkrurowaną srebrzystym szlachkiem. Doszukuję się podobieństwa pomiędzy rosyjskim określeniem broni, a samczymi rogami. *Orużije* – poroże, brzmi całkiem podobnie. W gruncie rzeczy służy do tego samego, by przebóść, nadziać, zabić w instynkcie mordowania. Wspólnym dla mężczyzn i zwierząt.

– Psst... – usłyszałem. – *Smotri...* Spojrzałem w kierunku wskazanym przez Wołodkę.

Dorodny basior o błyszczącym szarobrunatnym futrze pędził na nas w księżycowej poświacie. Czulem jego zapach i niemal namacalny zwierzęcy strach osaczonego stworzenia. A może był to mój własny lęk? Patrzyłem na niego jak zahipnotyzowany.

– Ognia! – wrzasnął ktoś z krzaków, a nad głowami roztoczyła się smużka błyskawic. Wilk zmienił kierunek. Walnąłem i ja. Nawet nie przymierzałem, strzeliłem na oślep gnany myśliwskim pędem i emocjami. Szarpnęło tak, że ledwie utrzymałem fuzję.

– O cholera, to jednak rozrywka dla prawdziwych atletów!

– Widziałeś, jaki *krasawiec*? – zapytał Touarbeg, walcząc z koszmarną czkawką.

I wtedy to się stało. Naprzeciw nas rozbłysły oślepiające reflektory, a głos z megafonu, podobny do wilczego warknięcia, zakomunikował bezdyskusyjnie:

– *Orużije na ziemi! Ruki w wierzch! I na kalienu.*

Staliśmy jak sparaliżowani.

– *Ruki w wierzch ja skaza!*

Ryknęła ponownie szczekaczka, a faceci w czarnych mundurach i kominiarkach rzucili się na nas dwójkami, wykręcili ręce, skuli dłonie.

– Nosił wilk razy kilka... jego mać! – myślę, z trudem łapiąc oddech pod ciężarem dwóch mężczyzn. Akcja trwała może z pięć sekund. Leżeliśmy elegancko skuci z nosami zanurzonymi w leśnym runie. Touarbeg czekał nieprzerwanie.

– Jakiś absurd – pomyślałem i czulem, jak trzeźwieję z sekundy na sekundę.

Kup książkę

Poleć książkę

Oceń książkę



**Księgarnia
internetowa**



**Lubię to!
Nasza społeczność**

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion

Przemykaliśmy po błotnistych drózkach pomiędzy skąpo oświetlonymi domami. Dla kurażu piliśmy. Całkiem sporo. Okrutnie mocnej owocowej samogonki. Wreszcie stanęliśmy. Z wyłączonym silnikiem i zgaszonymi światłami czekaliśmy sam nie wiem na co. Z bagażnika Ahmed wyciągnął czarną, wełnianą chustę.

— Weź to! — zakomenderował.

— Ale co będziemy robić? — zapytałem wreszcie, przeczuwając przybycie do celu naszej wyprawy.

Przewracając podchmielonymi oczami, Ahmed uśmiechnął się szpetnie i zapowiedział:

— Będziemy kraść żonę dla mojego brata.

Mój mocno nietrzeźwy mózg nie ocenił należycie niebezpieczeństwa.

— Dobra. Którą bierzemy?

— Staniemy tu i poczekamy. Powinna niedługo wyjść. (...)

Nagle trącenie pod bok. Wyszła. Smukła kaukaska piękność z kruczoczarnymi włosami do połowy pleców. Przeszła obok nas, rozsiewając niewidoczną mgiełkę dziewczęcych perfum.

— Dawaj! — syknął Ahmed.

(fragment książki)

Witold Gapiak napisał książkę niezwykle, pełną pasji i autentycznych emocji. Mistrzowsko przedstawił ludzi i miejsca położone wokół gór Kaukazu i w krajach byłego Związku Radzieckiego, na pograniczu Rosji, Chin, Pakistanu, Afganistanu i Iranu. Zanurzył się w klimat codziennego życia, kulturę, historię i tradycje ludów mieszkających na terenach fascynujących, ale też bardzo trudnych.

Przedstawione tu historie są momentami tak niewiarygodne i dramatyczne, że zastanawiamy się, czy one rzeczywiście mogły się wydarzyć. Książka, łącząca cechy reportażu, powieści łotrzykowskiej i opowieści podróżniczej, wciąga tak bardzo, że ani na chwilę nie pozwala się od siebie oderwać.

Andrzej Dębkowski, Związek Literatów Polskich



ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint^{PL}



Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najchętniej czytane:
• <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
• <http://bezdroza.pl/newsletter>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900
0 601 339900

